

# Krzysztof Tyszka-Drozdowski: Niebezpieczna dla Polaków pora

Historia powstania listopadowego to historia dzielnych Polaków zdradzonych przez wyobcowane od narodu elity – przypominamy tekst Krzysztofa Tyski-Drozdowskiego, poświęcony najbliższemu powodzenia zrywowi powstańczemu Polaków w XIX wieku.

Pośród Polaków wciąż panuje przeświadczenie – głęboko osadzone – że nasze powstania były pozbawione sensu. Od początku skazane na porażkę, wykwity chorej, ułańskiej fantazji, nie są, to jest ich zdanie, to jest zdanie „autorytetów”, godne czci (przypomnijmy obchody 150-lecia powstania styczniowego), ale, i to jest chyba gorsze, nie są nawet warte namysłu. Powstanie listopadowe to wielka lekcja, wielka naučka dla nas, stężone w jednym historycznym wydarzeniu – skupisko błędów.

Powstanie listopadowe jest przykładem roztrwonienia – jednym z największych w naszych dziejach – energii narodowej. Zaprzepaszczeniem historycznej szansy przez elity oderwane od narodu. Polakami nie kierował wtedy obłąd; walka nie była zbiorowym majaczeniem, jaki lubi wytykać szkodliwa publicystyka historyczna (pod osłoną patriotyzmu podnosząca do potęgi zarzuty, których używa strona zrównująca patriotyzm z nazizmem). „Powstanie, które wybuchło wieczorem 29 listopada 1830 roku, było wydarzeniem historycznie nieuniknionym. Przygotowały je wszystkie obiektywne czynniki społeczne, wewnętrzne i międzynarodowe, określające byt Królestwa Polskiego; do powstania – pojętego jako zbrojna walka przeciwko carowi i Rosji – gotowa była olbrzymia większość uświadomionej i aktywnej patriotycznie części społeczeństwa polskiego”[1].

Spółceństwo były gotowe odzyskać wolność i niepodległość. Przywództwo powstania zostało jednak przekazane w ręce tych, którzy pragnęli je jak najszybciej zdusić. Wybierano znanych i szanowanych

dygnitarzy, ster przekazano „autorytetom”. Oczekiwano, że poprowadzą powstanie do zwycięstwa – podczas gdy z premedytacją marnowali jego szanse.

Wszyscy generałowie armii polskiej, wszyscy członkowie rządu – wyjąwszy Lelewela – drżeli ze strachu. Bali się Polaków, którzy nie chcieli już dłużej znosić carskiego knuta, bali się carskiego gniewu, bali się utraty pozycji. Część generałów uszła do Petersburga; część walczyła z Polakami (jak Potocki, którego upamiętniono na pomniku, który kazał wzniesć Paskiewicz), inni usunęli się, aby nie brać w całej „aferze” udziału.

*Powstanie listopadowe jest przykładem roztrwonienia – jednym z największych w naszych dziejach – energii narodowej*

Zaufano autorytetom. Powierzono w ich ręce polski los. Ale one nie chciały tego ciężaru. Polacy pomylili się, bo granice – między

wrogiem a sprzymierzeńcem – nie były jasne i wyraźne. To nauczka, że radykalny rozłam, twarde, surowy podział, pozwala wytyczyć rów pomiędzy przyjaciółmi i zdrajcami, dzięki któremu nikt nikogo nie zmyli. Ten rów – musi być wypełniony krwią. Śmierć Konstantego była pierwszą okazją. Zamach się nie powiódł. Porozumienie z Mikołajem byłoby wtedy niemożliwe, to było oczywiste dla wszystkich, ugodowcy dążący do kapitulacji straciliby wtedy grunt pod nogami, nie mogliby przywieść powstania do upadku. Druga możliwość była taka – podjęcie przez Konstantego natychmiastowej walki z powstańcami. Wtedy lojaliści zostaliby zmuszeni opuścić Warszawę i pewnie udaliby się do Petersburga, a niezdecydowani dokonaliby wyboru. Skończyłoby się rozmycie, nie byłoby strefy cienia, wszystko wyszłoby na jaw takie, jakie jest.

Narodowa mobilizacja przepadła. Zgubiły ją „autorytety” i „elity”. Ile musiały zadać sobie trudu, ile wysiłku kosztowało zdławienie polskich szans, gdy zwycięstwo było w zasięgu ręki? „Polskie powodzenie militarne można uznać za prawie pewne; w każdym razie aż do Ostrołęki na dziesięć szans dziewięć przemawiało zawsze za

powstańczym zwycięstwem, później – aż do upadku Warszawy – szanse zwycięstwa polskiej kontrofensywy oceniać można jako – co najmniej – równe możliwości niepowodzenia. Dybicz i Paskiewicz znajdowali się cały czas w sytuacji bardzo trudnej i odnosili zwycięstwa tylko dzięki wyraźnej „pomocy” polskiego naczelnego dowództwa”[2]. Gdyby ofensywa ruszyła na Litwę, na Wilno – przed czym bronił się z całych sił Skrzynecki – cała Europa, a także car, uznałoby zwycięstwo powstania za pewne. Siły polskie rosłyby, powołując żołnierzy z zajętych terenów; siły rosyjskie ciągle by się kurczyły, bo państwem Mikołaja wstrząsał ekonomiczny i polityczny kryzys, który uniemożliwiłoby stawienie odpowiedniego oporu.

*Pod względem czysto militarnym – powstanie listopadowe było w najlepszym położeniu ze wszystkich polskich powstań*

Jednym z głównych zarzutów, stosowanych do podważania sensu powstania listopadowego, jest różnica potencjałów pomiędzy Polską a

Rosją. Trzeba tę dysproporcję zauważyć, bez dwóch zdań, ale nie kwestionuje to jeszcze racjonalności decyzji o powstaniu. To rozumowanie – wskazujące na niemożliwość prowadzenia walki z kilkakrotnie potężniejszym zaborcą – jest mylne, bo posługuje się analogią XXwieczną, przeniesioną w pierwszą połowę XIX wieku[3]. Nie była to epoka Totalnej Mobilizacji; potencjał ludnościowy, gospodarczy i szybkość jego uruchomienia nie przesądzały o wyniku konfliktu (jak to miało miejsce później w XX wieku). Transport kolejowy nie był na tyle rozwinięty, by w krótkim czasie przerzucić wojsko z jednego krańca imperium rosyjskiego na drugi. Przednowoczesna forma wojny korzysta z zasobów, które są na miejscu. Napoleon panował nad całą Europą, miał ją do dyspozycji, ale co z tego, skoro nie miał tych zapasów i posiłków na Litwie i Białorusi? „Kto umiał szybciej i lepiej wykorzystać przewagę zaskoczenia, prędzej zebrać zapasy żywności, koni i paszy z obszaru działań wojennych, kto wreszcie mógł liczyć na miejscową ludność w uzupełnianiu strat lub mobilizowaniu nowych sił – ten zwykle odnosił zwycięstwo”. Gdyby powstańcze oddziały wkroczyły nad Dźwinę i Berezynę, różnica potencjałów zmalałaby, zrównując polskie

możliwości z możliwościami caratu. Mikołaj nie posiadał pola manewru na Wschodzie, bał się śmiałego polskiego uderzenia. Musiał więc oprzeć się na lojalistach, aby zapobiec katastrofie.

Pod względem czysto militarnym – powstanie listopadowe było w najlepszym położeniu ze wszystkich polskich powstań. Zaopatrzenie, wyszkolenie naszych wojsk przewyższało poziom wojsk carskich. Powstańcy ustępowali przeciwnikowi tylko liczebnością artylerii (co nie miało wielkiego znaczenia, bo nasza artyleria była lepsza). Braki uzbrojenia nie musiały być nadrabiane ani ofiarnością, ani odwagą. Polacy posiadali przewagę bojową nad Rosjanami.

Opinia publiczna wysunęła na czoło powstania Chłopickiego. Dyktator był rozdrażniony, że wybór padł na niego. Popularność wśród społeczeństwa zawdzięczał sobie konfliktowi, w jaki popadł z wielkim księciem Konstantym. Kłótnia nie była jednak odruchem patriotycznym – nie chodziło tu o ład serca – ale o wybryk ambicji. „Nie smakując ani w książkach, ani w umysłowej pracy – opowiada o Chłopickim Prądzyński – przepędzał czas w Warszawie w nielicznym gronie i to na grubej grze” [4]. Pierwsze tygodnie poświęcił na zgniecenie wszelkiej oddolnej inicjatywy organizowania sił zbrojnych. Te pierwsze kilkanaście dni mogło przesądzić o powodzeniu powstania, mogło doprowadzić do błyskawicznych i trwałych zdobyczy. Na drodze stanął dyktator, robiąc co tylko w jego mocy, aby kupić czas carskiemu dowództwu. Surowo karał oficerów, którzy występowali z planami akcji militarnej; udaremniał działania zaczepne, zakazywał działań ofensywnych. Gdy doszło w lutym do bitwy na przedpolach Warszawy, Chłopicki założył z góry jej wynik: chciał remisu, z małym wskazaniem na stronę rosyjską. Przestraszył się, że wygrana Polaków zmusiłaby go do wyprowadzenia uderzenia na Wschód – czyli do wywalczenia niepodległości. Jerzy Łojek, autor książki, na której się opieram, twierdzi, że bardzo przekonujące dowody wskazują, iż dyktator miał okazję – co najmniej dwa razy – zmiażdżyć carskie wojska, lecz tych szans nie wykorzystał. Z całą premedytacją, z pełną świadomością – Prądzyński pada na kolana, zaklina go, by pozwolił przeprowadzić operację, której skutkiem byłoby rozbitcie trzonu rosyjskiej armii – odmawia.

Opinia publiczna była oczarowana Chłopickim, porażona jego osobą. Jak do tego doszło to jedna z największych zagadek dziejów Polski. Gdy nastąpiło rozczarowanie, gdy po bitwie grochowskiej skończyła się kariera dyktatora, nie było pomysłu, kto miałby go zastąpić. Wybór padł na Skrzyneckiego. Ten miał temperament podobny do poprzednika. Samolubny, zadufany w sobie i arogancki, uważał, że najlepszą polityczną metodą jest zamordyzm. Był strategicznym partaczem, bez wykształcenia wojskowego. Był też tchórzem. Wściekle bronił się od odpowiedzialności, bo się jej po prostu bał. Od dowódców wymagał całkowitej, stuprocentowej pewności, że ich plany się powiodą, inaczej nie wydawał rozkazu. Sparaliżował działania polskiego wojska, zaprzepścił szanse powstania wtedy, kiedy porażka wydawała się niepodobieństwem[5]. Beztroski, pozował do portretów (chciał, by znano go w całej Europie), wyprawiał bankiety i łamał wolę swoich oficerów.

Carski generał – Toll – pisał tak: „Rosjanie zbiegiem różnych okoliczności, tak wojskowych, jak i politycznych, znajdowali się w położeniu złym, na wyjście z którego, jeżeliby tylko Polacy umieli korzystać ze swoich momentalnych korzyści, nie było lekarstwa rozumnego [...] Jeden tylko wódz naczelny mógł Rosjanom przynieść zbawienie i ten ich wyratował”. Czy Skrzynecki był na rosyjskim żołdzie? Co do tego nie ma jednoznacznych dowodów. Zwraca uwagę fakt, że Toll zakładał – z niezachwianą pewnością, to trzeba podkreślić – iż Skrzynecki nie wykorzysta żadnej nadarzającej mu się okazji do pobicia Rosjan. Nie mamy więc pokwitowań pieniędzy, jakie miałby odbierać Skrzynecki, ale zdrada nie zawsze takich pokwitowań wymaga.

Po wielu usiłowaniach, udało się namówić Skrzyneckiego na ofensywę na północny wschód. Tutaj rysowała się ostatnia militarna szansa powstania – rozbić korpus gwardii arcyksięcia Michała, zanim połączy się z wojskiem Dybicza. Brytyjski minister spraw zagranicznych, Palmerston, notował na gorąco: „Jeśli Skrzyneckiemu powiedzie się w jego marszu na Wilno, uznam Rosję za pokonaną”.

Skrzynecki był jednak zawzięty, dalej psuł Polakom szyki. Mógł wreszcie – gwarancja była w końcu bardzo wysoka, stuprocentowa – przynieść powstaniu zwycięstwo. Odmówił. Nie chciał, nie mógł, jakoś to

wynikało z tego charakteru, że nie mógł zdobyć się na decyzję korzystną dla Polski. Sprawa polska zyskała wtedy wielką popularność w Europie. W interesie Francji i Anglii leżało, aby Polska podniosła się z ziem rosyjskich, wybiła się na niepodległość. U Francuzów sympatia dla Polski była odruchowa, to była namiętność; gdy rozeszły się wieści, że Dybicz zajął Warszawę, w Paryżu wybuchły trzydniowe zamieszki. Anglicy podchodzili do powstania zimniej, chłodno kalkulowali, że po prostu opłaca się im się wolna Polska, wspomagająca rozrost brytyjskich wpływów gospodarczych na Europę środkową. „Times” pisał: „Jak długo pozwalać się będzie Rosji prowadzić bezkarnie wojnę przeciwko starodawnemu i szlachetnemu narodowi Polaków, sprzymierzeńcom Francji, przyjaciółom Anglii, naturalnym, a przed wiekami wypróbowanym obrońcom cywilizowanej Europy przed tureckimi i moskiewskimi barbarzyńcami?”

Nie ma wątpliwości, że powstanie stwarzające fakty dokonane, zostałoby wsparte akcją dyplomatyczną państw zachodnich. Szef powstańczego rządu, książę Czartoryski – to on protegował Chłopickiego, on wysunął kandydaturę Skrzyneckiego – przeżywał całkowite zaćmienie politycznego rozumu. Stanął na czele frakcji ugodowców; nie wolno wystąpić przeciw powstaniu, tak sobie wtedy mówili, bo to społeczeństwo wyraziło swoją wolę, trzeba być po stronie społeczeństwa, ale nie można narazić się też carowi, trzeba wykazać się roztropnością, trzeba, przekonywali się nawzajem, by Zachód zobaczył w nas rozsądnych ludzi, a nie wariatów. Książę Adam – ten „książę wielkich nadziei” –, który w noc listopadową domagał się od Konstantego natychmiastowej interwencji (wybrał się do niego z Lubeckim), zachłysnął się teraz ideą, że umiarkowanie zmusi państwa europejskie do działania na rzecz Polski. Znowu letniość gubiła Polskę. Czartoryski nie rozumiał – to była jego wielka pomyłka, jego naiwność – że wsparcie rządu londyńskiego i paryskiego przyjdzie dopiero wtedy, kiedy Polacy wywalczą sobie wolność, że ta krucha niepodległość zostanie zabezpieczona, ale musi najpierw oprzeć się na jakichś podstawach. Książę Adam liczył, że sprawy Polskie, bez udziału Polaków, zostaną załatwione przez obcych. Wystarczy, tak uważał, że Polacy okażą się rozsądni, reszta sama ułoży się po naszej myśli.

Gdyby wykorzystano szanse powstania listopadowego, sprawy mogłyby przyjąć taki obrót. Po zajęciu Litwy i znacznej części Białorusi, rosyjska klęska byłaby już przypieczętowana, wiadano by o tym w całej Europie

*Czujność wobec elit  
przywódczych musi stać się  
cnotą Polaków, inaczej dalej  
pisać będziemy historię  
straconych szans*

i w Petersburgu.  
Jesienią anglo-  
francuska delegacja  
zawiązałyby  
pierwsze negocjacje  
między Polską a  
Rosją. Polski rząd  
byłby zobowiązany  
do wyrzeczenia się

pretensji do ziem zaboru pruskiego i austriackiego, aby uspokoić przeciwników niepodległości. Na terenach oswobodzonych w czasie powstania utworzono by monarchię konstytucyjną, tron obsadzono na zasadzie międzynarodowego porozumienia (z wyłączeniem kandydatów z Prus, Austrii i, rzecz jasna, Rosji). „Powstałoby w środku Europy niepodległe państwo polskie, obejmujące trochę więcej niż podwojony obszar autonomicznego Królestwa z lat 1815-1830, z dostępem do morza w rejonie Żmudzi i Kurlandii, z ludnością przekraczającą osiem milionów, ze zdrową strukturą ekonomiczną i znacznymi możliwościami rozwoju gospodarczego” [6].

Nikt ze stronnictwa ugodowców nie przewidział tego, co spotka Polaków po upadku powstania. Nie spodziewali się – tak zaprawieni w realizmie politycznym – likwidacji konstytucji, rozwiązania polskiej armii, konfiskat majątków, zsyłek i wyroków śmierci, nie spodziewali się trzebienia polskiej kultury, represji i emigracji. Do końca ufali, że z carem da się rozmawiać.

Ludzie czystego sumienia, patrioci, też dali się nabrać mocy autorytetów. Mochnacki zebrał podchorążych i udał się na Plac Bankowy, gdzie rząd miał swoją siedzibę. Chciał aresztować defetystów, wyrwać kierownictwo z rąk kapitulantów. Wysocki rzucił się im pod nogi, podobno z płaczem, i błagał, aby nie robili niczego głupiego, aby nie wykazywali się niesubordynacją. Podchorążowie posłuchali się.

Historia powstania listopadowego to historia dzielnych Polaków zdradzonych przez wyobcowane od narodu elity. Ówczesne autorytety wyznawały pogląd bardzo zbliżony do poglądu dzisiejszych autorytetów. Te poglądy – łuk przerzucony nad nurtem dziejów – sprowadzały się do przekonania, że Polska słusznie upadła, że jej koniec

był nieunikniony i konieczny, iż Polacy stracili prawo do samodzielnego istnienia. Ugodowcy byli zdania, że wszystko (to było też zdanie cara Mikołaja), co Polska ma, zawdzięcza Rosji, iż naród nasz nie ma racji bytu, powinien rozpuścić się w imperium, które jest tak dla nas dobroczynne. Do końca wierzyli, że z carem trzeba rozmawiać.

Narodowa mobilizacja została jednak rozproszona. Roztrwoniono ją przez zdradę, złe decyzje i tchórzostwo. Naród myślał, że kolaboranci są gotowi do walki na śmierć i życie z tym, który ich utrzymuje. Polskie dziejowe szanse jeszcze nieraz marnowano; przecież elita solidarnościowa odsunęła się od społeczeństwa, które ją wyniosło do władzy i całkowicie sprzeniewierzyła się ideałom, którym miała służyć. Czujność wobec elit przywódczych musi stać się cnotą Polaków, inaczej dalej pisać będziemy historię straconych szans.

*Krzysztof Tyszka-Drozdowski*

[1] J. Łojek, *Szanse powstania listopadowego*, PAX, Warszawa 1966, s. 7.

[2] Tamże, s. 114.

[3] Tamże, s. 39.

[4] Tamże, s. 35.

[5] Tamże, s. 97.

[6] Tamże, s. 118.